

Krótką historia Ślązaków w okrutnym XX wieku widziana przez pryzmat technik prześladowania grupowego

30 stycznia 2017

W EUROPIE TO NIC NOWEGO

Niemieckie państwo narodowe powstało w roku 1871, a jego polski odpowiednik 47 lat później, w roku 1918. Obydwa, wzorując się na Francji, jako normatywny model organizacji państwowości przyjęły ideę totalnej homogeniczności (jednorodności) językowo-etnicznej. Niemcy miały być państwem dla ludzi niemieckojęzycznych, a najlepiej jeszcze wyznania protestanckiego. Tak samo Polska miała stać się państwem wyłącznie dla Polaków, czyli wszystkich mówiących po polsku, i najlepiej także katolików.

Wielojęzyczni Ślązacy, w domu i po swoich miejscowościach mówiący po śląsku, w urzędach i szkole po niemiecku, a w kościele po łacinie i po polsku – zupełnie nie pasowali do tego modelu. Wedle „prawdziwych Niemców” posługiwali się „niepoprawnie” niemczyzną, a ich język był postrzegany z Berlina jako mieszanka słowiańsko-germańska, taki sobie „wasserpolski”. Podobnie widzieli Ślązaków „prawdziwi Polacy”, wedle których ci pierwsi mówili „po chłopsku” jakąś tam „zepsutą”, lub „zanieczyszczonej” polszczyzną.

Ponadto w roku 1922, pod międzynarodowym nadzorem Ligi Narodów, podzielono Górny Śląsk między Niemcy i Polskę. Społeczność międzynarodowa, w tym i Francja, narzuciły niechętnym temu rozwiązaniu Berlinowi i Warszawie, obowiązek poszanowania praw mniejszości. Z tym, że w zapisach na ten temat wyszczególniono jedynie Niemców, Polaków i Żydów.

Ślązacy zostali pominięci, bowiem nie mieli własnego państwa (jak Polacy i Niemcy) ani też międzynarodowego lobby (jak Żydzi), które by się wstawiło za nimi.

Polska i Niemcy postąpiły więc ze Ślązakami podobnie, jak państwo rosyjskie a potem polskie z Ukraińcami. Wedle cyrkularza wałujewskiego z roku 1863, zdecydowano w Imperium Rosyjskim, że języka małoruskiego (tj. ukraińskiego) nie ma, nie było i być nie może. Że to nic innego jak tylko chłopski język rosyjski „zanieczyszczony” przez polszczyznę. Stąd wypłynął wniosek, iż małoruski to chłopsko-regionalny dialekt języka wielkoruskiego (to jest rosyjskiego), który najlepiej „uwolnić” z „nieodpowiednich wpływów pańsko-polskich” przez zakaz wydawania publikacji w tymże języku. Z kolei zwolennicy Dmowskiego (endecy) uważali Ukraińców i Białorusinów za bezwolną „masę etnograficzną”, która w ciągu jednego pokolenia zostanie zasymilowana przez „polską kulturę wyższą”.

POSZLI DROGĄ CARA

Idąc tym tropem, w niemieckiej części Górnego Śląska ogłoszono, że wasserpolski to nic innego niż „kulturowy dialekt” języka niemieckiego, a szkoła niemiecka, wkrótce nauczy Ślązaków mówić i pisać poprawną niemczyzną. Podobnie po polskiej stronie granicy ogłoszono, że „śląska popsuta polszczyzna” to dialekt języka polskiego, a wkrótce polska szkoła go naprawi. Liga Narodów gwarantowała polskie szkolnictwo mniejszościowe w Niemczech oraz jego niemiecki odpowiednik w Polsce. Berlin stopniowo ograniczał to pierwsze, aż do jego zaniku tuż przed wybuchem II wojny światowej. Warszawa postępowała podobnie, lecz nie miała instrumentów prawnych do przeprowadzenia likwidacji prywatnego szkolnictwa niemieckojęzycznego, hojnie wspieranego z Niemiec.

Lecz – o czym się rzadko wspomina – od zaprowadzenia dyktatury w roku 1926 w Polsce, administracja państwowa zakazywała śląskim rodzicom posyłania dzieci do szkół niemieckojęzycznych, argumentując, że jak rodzice „mówią po

polsku" (tak interpretowano fakt używania śląszczyzny) to muszą zapisywać dzieci do szkół polskich.

W międzyczasie, w polskiej części Górnego Śląska, nie oglądając się na prawo i wolę mieszkańców, wszystkie nazwy miejscowe i geograficzne spolonizowano już w roku 1922. Podobny proces zastępowania nazw „zbyt słowiańskobrzmiących czysto niemieckimi” po niemieckiej stronie granicy rozpoczął się po zaprowadzeniu dyktatury nazistowskiej w roku 1933. Jednak zmiany te dokonywano stopniowo przy współudziale mieszkańców i samorządu. Za to ani w Polsce, ani w Niemczech nawet na chwilę nie rozważano możliwości wprowadzenia śląskojęzycznych form nazw miejscowych. W obu częściach podzielonego regionu naciskano też na ludność, żeby zmieniała imiona i nazwiska na „bardziej odpowiednie”, tj. na „czysto polskie” w Polsce oraz „czysto niemieckie” w Niemczech.

Jako wzór dla tych procesów administracyjnych wzięto germanizację szkolnictwa, nazw miejscowych oraz imion i nazwisk w Alzacji pod władzą Niemiec w latach 1871-1918, a następnie paralelny proces ufrancuszczenia tychże, po przejęciu tego regionu przez Francję w okresie międzywojennym.

OBYWATELSKIE TAM I NAZAD

Powyżej opisane procesy germanizacji oraz polonizacji w Górnym Śląsku zostały znacznie ułatwione przez wymianę ludności, oficjalnie zwaną „prawem opcji”. W polskiej części regionu osoby czujące się Niemcami mogły zadeklarować przynależność do narodu niemieckiego i tym samym zachowywały obywatelstwo niemieckie, jednak po pewnym ustawowym okresie musiały opuścić Polskę. Tak samo działo się w przypadku osób deklarujących przynależność do polskiego narodu w niemieckiej części regionu, z tą różnicą, że owe osoby traciły wtedy obywatelstwo niemieckie oraz nabywały polskie. Tą drogą, głównie w latach 1920., około 110 tysięcy osób wyjechało z polskiego Górnego Śląska do Niemiec oraz około 100 tysięcy z niemieckiej części regionu do Polski.

Wzorem dla tego rozwiązania była umowa z roku 1919 o wymianie ludności między Grecją i Bułgarią, oraz – szerzej znana – z roku 1923 o wymianie ludności pomiędzy Grecją a Turcją. Wcześniej, w ostatnich dwóch dekadach wieku XIX, jednostronnie usuwano z Cesarstwa Niemieckiego „nielegalnych obcokrajowców”, głównie etnicznych Polaków (katolików) bądź Żydów będących poddanymi rosyjskiego cara oraz austro-węgierskiego cesarza, jak i Duńczyków, poddanych króla Danii.

„Oczyszczanie” czyli etniczno-językowe „ujednorodnianie” państw narodowych Europy Środkowej przeszło w fazę gigantycznych czystek etnicznych oraz ludobójstwa w latach II wojny światowej i zaraz po niej. W 1939 roku cały Górny Śląsk ponownie znalazł się w granicach Niemiec. We wcześniej polskiej części regionu natychmiast zastąpiono polszczyznę niemiecką w funkcji języka oficjalnego, zlikwidowano szkolnictwo polskojęzyczne, zgermanizowano wszystkie nazwy miejscowe i geograficzne oraz zakazano posługi duszpasterskiej po polsku, jak i wydawania jakichkolwiek publikacji w tym języku. Z terenu byłej polskiej części Górnego Śląska wygnano ponad 80 tysięcy osób (w przeważającej części etnicznych Polaków z Galicji), które (lub ich rodzice) nie legitymowały się obywatelstwem niemieckim przed rokiem 1922.

Pozostała ludność, czyli głównie Ślązacy, zostali podzieleni na cztery grupy (I, II, III i IV) mające odzwierciedlać ich bliskość lub oddalenie kulturowo-etniczne od narodu niemieckiego. Ten proces klasyfikacyjny, oficjalnie znany pod mianem niemieckiej listy narodowej (DVL, Deutsche Volksliste) – nie był wymysłem niemieckim, o czym rzadko się wspomina, lecz wzorowano go na podobnej klasyfikacji etniczno-kulturowej na cztery grupy (A, B, C i D), jaką Paryż zaprowadził w roku 1918 na terenie odzyskanej Alzacji, celem przeprowadzenia épuration („oczyszczenia”) tego regionu z Niemców.

Po zakończeniu II wojny światowej cały Górny Śląsk znalazł się w granicach powojennej Polski. Alianci zdecydowali w Poczdamie, że z terenów niemieckich włączonych do Polski oraz

ZSRR, jak i z obszaru Czechosłowacji i Węgier zostaną wysiedleni wszyscy Niemcy. Proces ten określono w umowie poczdamskiej eufemizmem „transfer ludności” (population transfer).

ŚLĄZACY BYLI ZBYT POTRZEBNI

Jednak nie zastosowano tego wysiedlenia w Górnym Śląsku, jako że nie zniszczony w czasie wojny górnośląski przemysł, w drugiej połowie lat 1940., wytwarzał od 3/4 do 1/3 całości polskiego Produktu Krajowego Brutto. Bez tej produkcji odbudowa Polski, a tym bardziej jej unowocześnienie, byłoby o wiele powolniejsze i trudniejsze, o ile w ogóle możliwe. A przemysł ten potrzebował wysoce (jak na tamte czasy) wyspecjalizowanej siły roboczej, której przedwojenna Polska nie posiadała nigdzie indziej poza Górnym Śląskiem.

Stąd podjęto decyzję o zatrzymaniu całej ludności Górnego Śląska. W tym celu wykorzystano DVL na terenie przedwojennej polskiej części tego regionu, a w niemieckiej części przeprowadzono klasyfikację ludności na trzy grupy. Proces ten zwano „rehabilitacją narodową” w pierwszy przypadku oraz „weryfikacją narodową” w drugim. Wysiedlono jedynie niewielką grupę „Niemców”, którą te obydwa procesy „ujawniły”. Za to zachowano w kraju (często poprzez uniemożliwienie im upragnionego wyjazdu do Niemiec) ponad milion „zrehabilitowanych” oraz prawie milion „zweryfikowanych”.

Przykładem absurdów, do jakich prowadzi opisywana polityka narodowościowa jest jeden z najwybitniejszych sztangistów w historii. Starsi kibice pamiętają świetnie, gdy na światowych ringach złote medale zaczął zdobywać nagle Bułgar Naim Sulejmanow. W pewnym momencie, po opisanej powyżej w tekście „reformie”, zniknął z pomostu Naim Sulejmanow i pojawił się... Naum Szałamanow, też Bułgar. Kilka lat później złoto olimpijskie zdobył łudząco podobny do niego reprezentant Turcji... Naim Süleymanoğlu. Nim osiągnął 21 lat mężczyzna ten nosił aż trzy różne imiona i nazwiska, bo dopasować się do

żądań władz. Ślązacy aż tak źle nie mieli. Lecz często bywało bardzo podobnie na przestrzeni kilku pokoleń. Fatra autora artykułu, kiedy ten pierwszy przyszedł na świat w Michałkowicach (dziś dzielnica Siemianowic Śląskich) polskie władze województwa śląskiego, bez oglądania się na życzenia rodziców oraz ciągłość dokumentacji urzędowej, zarejestrowały go w księdze metrykalnej jako „Jan Szczepan Kamsela”. Jednak nazwisko jego rodziców nadal zachowało oryginalną formę „Kamusella”. W czasie wojny, niemieckie władze pozwoliły rodzicom na sprostowanie imienia i nazwiska ich syna na „Stephan Kamusella”. W roku 1947 polskie władze komunistyczne zmieniły synowi i jego rodzicom nazwisko na „Kamuzela”, dodatkowo przywracając temu pierwszemu przedwojenną formę imion, tj. „Jan Szczepan”. W roku 1963 spolonizowano imiona jego rodziców z „Katherine” i „Paul” na „Katarzyna” i „Paweł”. W końcu, w roku 1994 Fater odzyskał swoje imię i nazwisko, które považał za właściwe, tj. „Stephan Kamusella”. Ale „z papierów” nigdy nie wynikało, że był dzieckiem własnych rodziców. No i rzecz oczywista, doma po ślonsku Fatra wołano zowsze „Szte(j)fek”, a jego Elternów „Kejda” a „Paulek”.

„Zweryfikowanych” często określano nowym biurokratyczno-politycznym terminem „autochtoni”. W popularnym użyciu termin ten często rozciągano także i na „zrehabilitowanych”. Oficjalnie autochton to była osoba narodowości polskiej, jednak niedostatecznie świadoma swej polskości. Państwo miało dopomóc autochtonom w „odzyskaniu” tej ich „prawdziwej świadomości” (oczywiście, bez względu na ich własne poglądy i życzenia w tym względzie) poprzez „repolonizację” dla „zrehabilitowanych” oraz „odniemczanie” dla „zweryfikowanych”.

Polegało to na natychmiastowej likwidacji szkolnictwa niemieckojęzycznego, zastąpieniu niemczyzny polszczyzną w funkcji języka urzędowego, polonizacji wszystkich nazw miejscowych i geograficznych, oraz imion i nazwisk autochtonów bez prawa do odwołania. Zniszczono (czy też jak oficjalnie mawiano „usunięto”) wszystkie „ślady niemieckości”, czyli

pomniki, biblioteki, książki i czasopisma w zbiorach domowych, napisy na budynkach, urządzeniach, maszynach oraz grobach (czasem razem z grobami). Zakazano też posługiwania się publicznie i prywatnie językiem niemieckim. Opornych karano mandatami, wyrzuceniem dzieci ze szkoły, zwolnieniem z pracy, oraz utratą mieszkania czy gospodarstwa. A dla „upartych przestępców językowych” zorganizowano specjalny obóz pracy przymusowej w Gliwicach.

GRECKI WZORZEC

Takie systematyczne i gruntowne niszczenie „śladów” innej narodowej czy też etnicznej przeszłości danego obszaru znane jest z Grecji, gdzie od lat 30. XIX stulecia w podobny sposób „rozprawiono się” z otomańską przeszłością, czyli książkami pisanymi pismem arabskim, meczetami, nagrobkami muzułmańskimi itp. Zgrecozowano też wszystkie nazwy miejscowe i geograficzne oraz imiona i nazwiska ludności. W „wymianie ludności” z roku 1923 gros muzułmanów wygnano do Turcji, skąd w zamian przyjęto tamtejszych prawosławnych.

Lecz wkrótce okazało się, że nie każdy prawosławny mówi po grecku. Tak więc zakazano mówienia oraz wydawania publikacji po albańsku, arumuńsku, słowiańsku czy też turecku. Zlikwidowano też nieliczne szkoły używające tych języków. Określenia „język słowiański” używano, aby nie mówić o języku bułgarskim czy południowym serbsko-chorwackim (lub macedońskim, jakbyśmy go dziś nazwali). Podobnie też, żeby nie wspominać o albańszczyźnie, mowę prawosławnych Albańczyków przemianowano na arvanatikę. Ponadto, kiedykolwiek zaszła konieczność ograniczonego użycia w piśmie arvanatiki, słowiańskiego lub tureckiego, czyniono to wyłącznie literami greckiego alfabetu.

Wszyscy zostali Grekami, choć niektórzy przez jakiś czas byli nie-greckojęzycznymi Grekami. Dopóki ich dzieci nie nauczyły się „porządnie po grecku”. To tak jak Ślązacy w międzywojennych Niemczech, którzy często byli określani

pojęciem *eigenesprachige Deutsche*, czyli „nie-niemieckojęzyczni Niemcy” związanymi z narodem niemieckim poprzez wspólnotę kultury niemieckiej. A zastąpienie etnonimu Niemiec lub Ślązak na Górnym Śląsku biurokratycznym określeniem „autochton”, jako żywo przypomina grecką praktykę nazywanie języka albańskiego „arvantiką”, a języków bułgarskiego i macedońskiego „językiem słowiańskim”.

POLSKA NIE BYŁA WYJĄTKIEM

W wewnętrznych dokumentach partyjnych i państwowych często mawiano o autochtonach jako „kryptoniemcach” (tak, zaraz po wojnie słowo „niemiec” pisano z małej litery), co pokazywało jak polska władza ludowa rzeczywiście postrzegała Ślązaków. Do roku 1990 zupełnie zakazano używania etnonimu Niemiec w odniesieniu do kogokolwiek z autochtonów w Górnym Śląsku.

Oficjalnie w PRL-u nie było żadnych miejscowych Niemców, i stąd żadnej mniejszości niemieckiej, a tym bardziej w autochtonicznym przecież Górnym Śląsku. Instytut Śląski w Opolu przewodził w badaniach, które „jasno udowadniały oczywiste” nie-istnienie mniejszości niemieckiej w Polsce. Górnośląscy Niemcy i Ślązacy mogli być tylko i wyłącznie autochtonami.

Sytuacja ta była podobna do tej z zakazem używania etnonimu „Kurd” oraz lingwonimu „język kurdyjski” w Turcji od lat 1930. do początku drugiego dziesięciolecia XXI stulecia. W tym to okresie wszyscy Kurdowie w Turcji byli znani pod oficjalnym mianem „górskich Turków”, czyli zostali regionalną grupą etnicznojęzykowo zdefiniowanego narodu tureckiego. Sformułowanie to nie pozostawiało miejsca dla języka kurdyjskiego, który miał zostać zlikwidowany przez szkolnictwo i mass media tureckojęzyczne przy walnym udziale systemu dotkliwych kar za mówienie po „nie-turecku”. Podobnie jak to miało miejsce z językiem niemieckim w Górnym Śląsku za komunizmu.

Takie „znikanie” mniejszości etniczno-językowych stosowano na wzór Polski, Grecji i Turcji także w ludowej Bułgarii lat 1980. Wtedy to wszystkim Turkom (muzułmanom) przymusowo zmieniono „arabsko-islamskie” imiona i nazwiska na „czysto bułgarsko-słowiańskie, oraz „zniknięto” wszystkich Turków ze statystyk i życia publicznego. Z dnia na dzień stali się swojskimi „Bułgarami wyznania mahometańskiego”. A wyznanie to nie stanowiło żadnego problemu, bo w tym samym czasie zamknięto wszystkie meczety i zakazano praktykowania świąt i obrzędów muzułmańskich, włącznie z obrzezaniem chłopców oraz „tradycyjnym ubiorem mahometańskim” (zwłaszcza dla kobiet). Równolegle zakazano posługiwania się „obcymi językami”, co było określeniem-kodem na „turecczyznę”, żeby nie wymieniać jej zakazanego miana. Niewdzięczni jednak „Bułgarzy-mahometanie”, na fali pierestrojki, w maju 1989 roku, podjęli serię szerokich protestów, głodówek i demonstracji, dlatego latem tamtego roku, 360 tysięcy z nich wygnano do Turcji.

ŚLĄZACY MIELI JAK TURCY

Oficjalnie do granicy byli wciąż Bułgarami, ale w momencie jej przekroczenia, w Turcji stawali się Turkami, łącznie z prawie automatyczną utratą obywatelstwa bułgarskiego przy równoczesnym nabyciu obywatelstwa tureckiego.

Podobnie rzecz się miała z autochtonami górnośląskimi po zakończeniu poczdamskich wysiedleń w roku 1950. Do granicy byli Polakami, ale po jej przekroczeniu, w RFN, stawali się Niemcami, chociaż biurokratycznie określanymi jako Aussiedlerzy („przesiedleńcy”). Tak samo jak w bułgarskim przypadku, na granicy zarówno tracili obywatelstwo polskie, jak i nabywali niemieckie. W latach 1950-1992 około 800 tysięcy górnośląskich autochtonów „wyjechało” (de facto głównie uciekali przed przymusową asymilacją i związanymi z nią prześladowaniami, oraz z powodu PRL-owskiej biedy) do RFN, dołączając tam do podobnej liczby Ślązaków i Niemców górnośląskich, którzy już wcześniej, w latach 1944-1950, uciekli, zostali ewakuowani lub wysiedleni z własnego hajmatu.

W roku 1990 uznano istnienie mniejszości niemieckiej w Polsce, i okazało się, że wbrew zakłębciom za czasów PRL i wysiłkom naukowców z Instytutu Śląskiego w Opolu, gros członków tejże mniejszości zamieszkuje w Górnym Śląsku, a zwłaszcza w jego zachodniej połowie. Stąd wniosek, że większość członków tejże mniejszości wywodzi się spośród „zweryfikowanych”. W latach 1990. około 300-400 tysięcy uznanych Niemców zamieszkiwało w Górnym Śląsku.

Jako że do dziś nie odtworzono niemieckojęzycznego szkolnictwa mniejszościowego, nie istnieje w Polsce nawet najmniejsza wioska lub dzielnica miejska, gdzie niemczyzna byłaby językiem dnia codziennego. Stąd w ogromnej większości Niemcy z Górnego Śląska to *eigenesprachige Deutsche*, czyli „nie-niemieckojęzyczni Niemcy związani z narodem niemieckim poprzez pamięć o niemieckiej wspólnocie kulturowo-językowej”. Językiem ich dnia codziennego jest śląszczyzna (a coraz częściej i standardowy język polski).

W związku z normatywnym przywiązaniem do etniczno-językowej definicji narodu w Europie Środkowej oraz z powodu stopniowego odchodzenia najstarszego pokolenia, które jeszcze uczęszczało do szkół niemieckich przed rokiem 1945, w ćwierćwieczu po upadku komunizmu, coraz więcej członków młodszych generacji mniejszości niemieckiej poczęło się identyfikować jako Ślązacy, Ślązacy-Niemcy, Ślązacy-Polacy, Ślązacy-Europejczycy oraz Ślązacy-Niemcy-Polacy. Spowodowało to spadek liczby Niemców do około 150 tysięcy.

Pierwszy postkomunistyczny spis z roku 2002 już odzwierciedlał tę tendencję, choć z drugiej strony został silnie zmanipulowany w zakresie deklaracji języka śląskiego oraz przynależności do narodu śląskiego. Przecież jak nie ma już Niemców to pozostali, jak uważa się w Warszawie, powinni być już „po prostu” Polakami. To na podobną modłę swobodne podejście do danych jak w sanacyjnym spisie z roku 1931, kiedy to „udowodniono”, że z etnicznej perspektywy województwo śląskie było wtedy ... „najbardziej polskim” ze wszystkich

polских województw. Lecz już wkrótce wtedy okazało się, jak o tym pisałem powyżej, że w czasie wojny mieszkały tam wyłącznie osoby legitymujące się wpisem na niemiecką listę ludnościową (tzw. Volksdeutsche, folksdojcze), które za PRL-u przemianowano na „zrehabilitowanych autochtonów”.

AUTOCHTONI NIE CHCĄ ZNIKAĆ

Drugi postkomunistyczny spis z roku 2011, rzetelniej przeprowadzony po napomnieniach z samego ONZ, wykazał ponad 800 tysięcy osób przynależnych do narodu śląskiego oraz ponad pół miliona osób śląskojęzycznych. Ale Warszawa postanowiła nie uznawać tych wyników, a tym bardziej przyjąć do wiadomości fakt istnienia śląskiej mniejszości narodowej oraz języka śląskiego.

Jako żywo sytuacja ta przypomina tą z pierwszego postkomunistycznego spisu w Bułgarii z roku 1992. Na południe od Sofii, w gminie Jakoruda i okolicy prawie 40 tysięcy osób zadeklarowało się jako Turcy. Wzburzeni tą „zdradą” nacjonałści bułgarscy przeprowadzili dochodzenie parlamentarne, w trakcie którego „odkryto”, że deklaracje przynależności do narodu tureckiego złożyli słowiańskojęzyczni muzułmanie. Stąd wyciągnięto „logiczny wniosek”, że o ile nie mówią po turecku, to nie mogą być Turkami. Na tej podstawie, w roku 1993, nie oglądając się na wolę samych zainteresowanych oraz na zasady demokracji, Parlament Bułgarii unieważnił wyniki spisu dla Jakorudy i ogólnie zaklasyfikował tamtejszych Turków jako „Bułgarów-mahometan”.

W Polsce, jak i w Bułgarii, oficjalnie szanuje się prawa mniejszości, bowiem tego wymaga od Warszawy (i Sofii) Unia Europejska. W roku 1993 UE na szczycie w Kopenhadze, przyjęła postanowienie o tzw. trzech kryteriach kopenhaskich, które państwa kandydackie muszą spełnić zanim Unia będzie mogła rozpocząć z nimi negocjacje członkowskie. Kryterium polityczne, między innymi, stanowi, że państwo kandydackie musi szanować prawa mniejszości. Polska czyni to względem

Karaimów, Litwinów, Tatarów, Ormian, Romów czy Niemców. Jednak wszystkie te oficjalnie uznane w Polsce mniejszości, liczbowo nie przekraczają 1 procenta ludności całego kraju. A osoby, które faktycznie znają i posługują się językami tychże mniejszości to mniej niż pół procenta populacji.

Uznanie mniejszości śląskiej oraz jej języka śląskiego spowodowałoby „dramatyczny wzrost” etnicznych nie-Polaków i osób nie-polskojęzycznych do 2-3 procent. A to, według polskich nacjonalistów etnicznojęzykowych (tzw. endeków), którzy obecnie kształtują polską politykę, na pewno stanowiłoby już „poważne zagrożenie jedności i spójności Polski oraz samego istnienia państwa”. Dogmat konieczności ciągłego umacniania jednorodności Polski i Polaków wciąż trwa.

Dlatego w tej sytuacji Ślązacy oraz śląszczyzna muszą – w myśl endeckiej ideologii – pozostawać poza nawiasem prawa. Bowiem przestrzeń liczbowo-statystyczną dla mniejszości, co mogą liczyć na uznanie w Polsce wyznaczają z jednej strony kryteria kopenhaskie, a z drugiej zasada jednego procenta.

Dla Ślązaków oraz śląszczyzny „siłą rzeczy” zabrakło miejsca na tej krótkiej ławce. Dlatego w wypadku Ślązaków Warszawa wzoruje się na tureckim „rozwiązaniu” dla „problemu kurdyjskiego”. Wedle administracji państwowej Ślązacy to nic innego niż „grupa regionalno-etnograficzna” lub „grupa społeczna” (inaczej mówiąc „robotnicy oraz chłopo-robotnicy” i ich zstępni z Górnego Śląska) narodu polskiego, a ich mowa to taka tam sobie poślednia i godna jedynie zapomnienia „gwara” języka polskiego.

Autorstwo: dr hab Tomasz Kamusella z Reader in Modern History University of St Andrews w Szkocji

Źródło: StudioOpinii.pl